

J. BRAUN.

„DEMON FILMU“

6

Chciałem iść w świat, od wsi do wsi, od miasta do miasta, z miseczką żebraka — bramina. Wszechwiedząca mądrość pchała mię na szerokie gościńce rozciągnięte białymi taśmami po Indjach, od Amritsaru, Lahore i Benares, aż po Haidarabad, miasto Środka i Bangalore błyszczące jak latarnia wśród gór Dekhanu...

Ale los chciał inaczej...

...Tu „Demon“ ukrył smutnie twarz w dłoniach.

— Niech pan się nie dziwi moim wybuchom żalu. Stała się rzecz straszna, panie Smith. Zgubiłem się, straciłem kontakt z Bóstwem, zła, wsteczna siła kopnęła mię z powrotem w mrowisko hałaśliwego świata...

Zgrzytnął zębami.

— Kobieta. Uczyniła to kobieta. Spojrzała na mnie oczyma księżycy i czarodziejskiej pantery — i pierchnął odemnie boski stan poznania, widać za słabo jeszcze wrośnięty korzeniami w mą duszę. Nie ujrzałem już pieczary i urwiska Hamavatu, w tybetańskich klasztorach Lhassy nie doznam błogiej łaski ascezy...

Była córką radży w Kaszmirze. Wonna i lekka, jak purpurowy kwiat asoki, prosta jak bambusowa trzcina, giętka, jak klinga allahabadzkiej szpady i piękna jak światło księżycy porwała mię za sobą, jak srebrny wodospad Pamiru. Głos jej był upajający, jak głos kokili, szept, jak poszum palm w noc wiosenną. Brzęk złotych bransolet na przegubach jej nóg był dla mnie najwspanialszą muzyką. — Gdym pierwszy raz dotknął jej płonących, jak węgle, warg nabrzmiałych rozkoszą, gdym po raz pierwszy poczuł pod palcami to drżące, miękkie jak jedwab ciało wyslizgające się ze zwojów muślinu, doznałem uczucia potwornego szczęścia i zachwyty.

A gdy wykwitła przedemną na puszystej lamparce skóry płasząc w czerwonym półświecie lampjonów i przy subtelnym akompaniamencie viny drgającej w moich rękach, zwinna i dzika, jak córka dżungli, naga, wyprostowana i wiotka — spokój mój urwał się, jak naprężona struna, a burza ludzkich, pijanych namiętności schwytała mię na nowo w swe szpony. Od tej chwili wróciły dawne narowy i błędy, żądza uciech i nurzanie się w fontannach rozpusty. Ambicja gwałtowna, nieludzka, spotworniała do niebываłych rozmiarów pchała mię w zgiełk życia, ku poklaskom tłumów, w odmet bezplanowych czynów i porywów.

Ale siła pozostała przy mnie...

Wiedza yogów użyczyła mi na zawsze swej potęgi.

Wróciłem do filmu.

Skonstruowałem niezwykłą elektryczną maszynę dźwigającą wolę człowieka do tysiąckrotnej potęgi i mój wynalazek, mój „płyn hipnotyzujący“ stał się rzeczywistością, środkiem, którego postanowiłem użyć dla wprowadzenia w życie moich planów...

Wstał i podszedłszy ku metalowemu krzesłu oparł dłoń na kuli jego poręczy.

— Oto ten pokój jest moim laboratorium. Siedząc na tym fotelu z rękami zaciśniętymi na tych metalowych kulach, naładuję się niesłychaną energią, drżącą pod ścianami w stojących tam retortach szklanych. To jest, mój panie Smith, bardzo skomplikowana maszyna. Nie wiem, czy jest obecnie na kuli ziemskiej drugi mózg, któryby był zdolny wymyślić coś podobnego...

Spójrz pan na to wklęsłe zwierciadło naprzeciwko. Jest to zbiornik skąd wchłaniam w rozszerzone źrenice Światło Żywe. W pewnym momencie, gdy nabój energii koncentrujący się we mnie wypełni po brzegi swoje naczynie, przelewa się, wybucha i przez soczewki moich oczu, jak przez dwa reflektory tryska snopami błękitnych promieni.

Wówczas potężna dźwignia podnosi szklane kule napelnione wynalezionym przezemnie płynem, którego właściwością jest to, że reaguje on na emanujące ze mnie fluidy duchowe. I oto ciecz przetwarza się, zmienia barwę i skład chemiczny i staje się owym „hipnotyzującym płynem“, o którym słyszał już pan po wielokroć razy.

W laboratorium „hypnozy filmów“ chemicy rozbijają te kule i zlewają płyn do specjalnie skonstruowanego systemu waniek szklanych, które on ustawicznie przepływa, jak strumień pędzony przez misterne kołowroty — i kapanej w nim taśmie nadaje ową moc nieznaną...

Smith zdumiony i olśniony rewelacjami tego człowieka nie mógł przez chwilę ust otworzyć...

— A... ta kobieta — zapytał z wahaniem.

Brown zmarszczył brwi.

— Ta kobieta jest ze mną, tutaj w mieście...

— Aaa!...

Smith siedział w kącie wkulony w pluszowe karło i drząc nerwowo patrzył.

Brown stał nieruchomo, jak posąg z brązu wykuty, na środku pokoju. Oczy rozwarły jak kręgi — pozbyły się mrużenia powiek. Ramiona, jakby pod działaniem jakiejś tajemniczej siły podnosiły się automatycznie w górę i wyciągnęły, jak

dwa sztywne, wyprężone węże, tylko końce palców drgały leciutko.

Chwila.

Hindus drgnął i wyruszył ze swego stanowiska pod ścianą. Zbliżył się tak, jakby płynął powietrzem, bez szmeru, nie dotykając stopami ziemi. Stał naprzeciw Browna tak, że palce jego wyciągniętych nóg dotknęły palców „Demona“.

Smithowi wydało się, że w tej chwili z tych ostrych, wydłużonych szponów trysnęły błękitne ogniki...

Fakirzy przy zetknięciu zadrżeli nagle i jakiś raptowny, histeryczny wstrząs targał nim od stóp do głów, skręcając im członki. Było to tak, jakby strumień prądu elektrycznego o strasliwym natężeniu paru tysięcy wolt runął przez nich i nastąpiło krótkie spięcie na drutach.

Potem wzniesione ich głowy schylały się, aż oczy Browna utkwili w oczach człowieka Hindu i powięzły się z nimi smugami mglistych promieni.

Trwało to dłużej, długo...

„Demon“ pił z przeciwnych zbiorników żrenic promienistą energię wysłał przez maćki oczu całą ogromną, falującą, jak bezbrzeżne morze jaźń indyjskiego ascety, aż wciągnął ją doszczętnie jak próżnia wchłania powietrze.

A wtedy starzec począł zwolna tężeć, sztywnieć i pochylać się wtył prosto, nie zginając kolan ni grzbietu, jak martwy kawałek drewna. Nie upadał, trwając w tej nieprawdopodobnej pozycji, słaniając się tylko wciąż ku ziemi, aż legł w niej całym ciałem nieruchomo, zastygł, straszny...

Postać „Demona“ zmatowiała jakoś, zagubiła wyraźne kontury i począła zasuwac się mglistym, owalnym kokonem, przez który ciało jego przeświecało, fosforyzowało, jak podłużny lampjon. Z oczami utkwionymi w półkuli wklęsłego zwierciadła nad drzwiami, które właśnie rozjaśniło się jakąś dziwną poświatą, cofał się „Demon“, płynął raczej ponad podłogą, aż przeniósł się zupełnie na ów metalowy fotel.

A gdy oparł dłonie na groźnych kulach poręczy, w pokoju poczęło się dziać coś straszego.

Jakieś nagle, urywane szmery, coś jakby trzask odwodzonych kurków u karabinów, jakiś głuchy, podziemny szum, jakiś łoskot kół rozpędowych i zgrzyt puszczonego w ruch maszyn.

Poczęły przelatywać z kąta w kąt we wszystkich kierunkach niewyraźne, niewytłumaczalne cienie i zjawiska. W twarz Smitha uderzył przerażający pęd chłodnego wiatru. Pod ścianami rzędy retort szklanych rozblękitnozielonym blaskiem, a lampy zagasły nagle. Zato z wnętrza wklęsłego zwierciadła wytrysnął snop tak potężnego, tak olśniewającego światła, że zdało się — musiał porazić i oślepić białe weń źrenice Browna. Ale one mimo to otwierały się coraz szerzej i zdawały się nie reagować wcale w sposób normalny na to rozgorzałe przed nim elektryczne słońce.

Strasliwa machina Białego Fakira poczęła działać...

Smith siedział, bojąc się ruszyć, przejęty panicznym strachem. Nie wiedział, co o tem sądzić, to na co patrzył urągało prawdom rozumu i zdrowego rozsądku...

Nagle zwierciadło zgąsło, a przed Demonem, jak wyrzucona z pod ziemi zawisła owa kryształowa kula napelniona mleczno-białą cieczą...

Oczy jak reflektory nakierowały na nią smugi błękitnego blasku i pod jakimś niewytłumaczonym, szatańskim działaniem ich siły płyn w kuli zawirował, zmętniał, zagotował się jakby i począł przybierać wszystkie barwy tęczy po kolei, aż rozświecił się jak błada, mglisto-fosforyczna latarnia i tak pozostał.

Wówczas kula uniosła się w górę i znikła w czarnym kominie sufitu, a za nią na ciemnym łańcuchu wykwitła z podłogi druga, z którą odbyło się to samo misterjum. I tak jedna za drugą przechodziły okropne kule przez pole działania „hypnotycznej“ potęgi „Demona“.

Aż nakoniec Brown krzyknął jakimś przeraźliwym, zduszonym głosem i zerwawszy się z krzesła wyciągnął ręce w górę i upadł w tył uderzając głową o oparcie.

Energja wyczerpała się.

Zemdlał...

A wówczas wszystko zamarło w bezruchu. Kule kryształowe przerwały swoją monotonną wędrówkę od podłogi do sufitu, retorty szklane przygasyły, ruch w sali ustał zupełnie, trzask isker elektrycznych i łoskot maszyn ustąpił miejsca kompletnemu milczeniu.

Cisza w uszach dzwoniąca.

Ale po chwili „Demon“ wstał i podszedł do kontaktu przy drzwiach.

Pokój zatonał nagle w smukłym, normalnym, pospolitym blasku białych lamp elektrycznych...

Tylko Hindus leżał wciąż rozciągnięty jak gąsienica na plecionej macie.

— Niech śpi — ozwał się Demon. — To potrwa całą dobę.

Pocisnął guziczek dzwonka, poczem weszli posępni, obojętni Chińczycy i wynieśli sztywne ciało fakira.

Bruno Brown zapalił cygaro i patrzył na Smitha przez chwilę.

— Mister Smith, jakże tam, czy „Demon Filmu“ jest warjatem?

Smith milczał wymownie.